

„Carmen” w Operze Bałtyckiej

665

A ona była ruda...

Jeżeli „Carmen” na scenie (bo przecież inspiracji dla operowego libretta dostarczyła literatura) - to przede wszystkim muzyka. Wspaniała, stworzona przez Georges Bizeta w drugiej połowie minionego stulecia, na przekór ówczesnym stylistycznym kanonom, w pełni - jak to często bywa - doceniona dopiero przez potomnych. Tę muzykę, na przemian liryczną i żywiołową radosną, tak bardzo hiszpańską w swoim charakterze, znamy z wielu wykonań, a poszczególne „numery” w najróżniejszych opracowaniach, od lat z powodzeniem funkcjonują również niezależnie, niemal na prawach muzycznych standardów. Kompozytorskie dzieło Bizeta dawno już potwierdziło swą klasę i uniwersalizm, na stałe wprowadzając „Carmen” do repertuaru teatrów operowych.

Możemy zatem mówić o wyjątkowym szczęściu, gdyż najnowsza gdańska inscenizacja tego utworu powstała pod muzycznym kierownictwem Jerzego Maksymiuka, a to nazwisko daje gwarancję wykonania najwyższej próby, precyzyjnego w każdym calu, wydobywającego całą urodę i finezję melodii. Jerzy Maksymiuk naturalnie nie zawiodł. Opera orkiestra brzmiała pod jego batutą wyśmienicie, a chór i soliści dotrzymali jej kroku. Dzięki temu „Carmen” - od strony muzycznej - zaprezentowała się w pełnej krasie, po raz kolejny urzekając słuchaczy bogactwem nastrojów, subtelnością perfekcyjnego brzmienia, niezwykłą, porywającą melodyjnością. Dla ucha była to więc bez przesady prawdziwa uczta, którą zgotował dyrygent wraz z orkiestrą oraz śpiewacy. Drobne potknięcia wprowadziły tu i tam zdarzyły się solistom, lecz przecież nie ma róży bez kolców. Te zaś były tak drobne, że nie zdołały popsuć ogólnego wrażenia.

Trochę natomiast na to wrażenie rzutować mogą, jak sądzę, decyzje obsadowe. Teatr w ogóle, a konwencja operowa w szczególności, zakładają daleko posuniętą umowność. Nie bez oporów jednak przyjmujemy rudowłosą Cygankę Carmen i „misiowatego”, jasnowłosego Don Jose. Tak sobie za-

życzył reżyser i można by ten wybór kwestionować, tym bardziej, że para odtwórców głównych ról występuje w Gdańsku gościnnie. Zapewne udałoby się znaleźć wykonawców bardziej zewnętrznie przystających do naszych wyobrażeń o namiętnej Cygance i hiszpańskim sierżancie. Ale... Trudno nie dostrzec, że Bożena Zawisłak-Dolny jest doskonałą interpretatorką roli Carmen. Uosabia temperament, siłę fatalną, niezależność. A Krzysztof Bednarek (Don José) w miarę rozwoju wydarzeń uwiarygodnia tę postać. „Gdy gardzisz, kocham cię nad życie, lecz gdy pokochasz to się strzeż” - śpiewa Carmen w Habanerie. I potrafi rozkochać w sobie tego ponurego sierżanta, statecznego narzeczonego złotowłosej Micaeli (Sylvia Feherpataky). Bo przecież „Carmen” to studium namiętności, historia uczucia, rozpalonego na życzenie kobiety, która do końca pragnie być panią samej siebie. Escamillo (Leszek Skrla), bożyszcze tłumów, torreador będzie tym, którego pokocha naprawdę. Don José pozostanie jedynie igraszką, kaprysem kobiety nie uznającej żadnych zasad. Jej domena to przewrotność i poczucie wolności.

Bożena Zawisłak-Dolny zjednuje sobie naszą sympatię już od samego początku, od Habanery w I akcie, kiedy to ujawniają się możliwości aktorskie tej utalentowanej artystki. Jej partner potrzebuje na to więcej czasu, ale ostatecznie, mimo powierzchownych zastrzeżeń, udaje mu się przekonać do siebie widza (słuchaczy znacznie szybciej). Sylvia Feherpataky od pierwszej sceny aż do arii w III akcie przykuwa uwagę, bo atuty wokalne łączy z wdzięczną, ujmującą sceniczną prezencją.

Kuplety (zwłaszcza te z udziałem Cyganek Frasquity - Marzeny Prochackiej i Mercedes - Alicji Rumianowskiej), duety, arie, a także roztańczone sceny zbiorowe kryją w sobie wiele uroku. Przedstawieniu „Carmen” na scenie Opery Bałtyckiej naprawdę trudno cokolwiek zarzucić. I tym chyba trudniej pojąć, dlaczego ten trwający cztery godziny spektakl tak miejscami nuży. Oglądałam go świeżo po przyjeź-

dzie z Hiszpanii, z radością odnajdując w tym widowisku iberyjski klimat i koloryt, lecz uczucia pewnej monotonii nie udało mi się uniknąć. I nie było to wrażenie odosobnione. Na pewno „bokiem wyszła” oryginalna wersja językowa, bo francuszczyzna wielu solistów brzmiała egzotycznie niczym jakieś narzecze. Zawinił też z pewnością scenograf, który zaprojektował dekoracje (nota bene bardzo udane) w sposób uniemożliwiający płynne

nie i wygląda na klasyczne „czepianie się”, ale niewykluczone, że z czasem wszystko się „ucukruje” i dotrze, tym bardziej że spektakl w poszczególnych scenach i epizodach przedstawia się niesłychanie barwnie i żywiołowo.

Anna Jęsiak

Państwowa Opera Bałtycka w Gdańsku: Georges Bizet, „Carmen”. Opera w 4. aktach. Libretto: Henri Melhac i Ludovic Halevy na podstawie noweli Prospera Merimée. Kie-



Bożena Zawisłak-Dolny jako Carmen w operze G. Bizeta, na scenie Opery Bałtyckiej. Fot. Tomasz Degórski

przejście z aktu do aktu. Konieczność zmiany scenerii wymusiła długie przerwy i chociaż generalnie warto było czekać na nową odsłonę (najlepiej wypadł plac Sewilli w akcie I, malarskie, groźne Pireneje w akcie III i finał) to wbrew hiszpańskiemu duchowi samej muzyki, brakowało chwilami widowisku dynamizmu i tempa. Brzmi to pewnie dziwacz-

rownictwo muzyczne Jerzy Maksymiuk, współpraca - Jacek Boniecki, reżyseria - Marek Sikora, scenografia - Andrzej Szczerbań, kostiumy - Anna Michniewicz, współpraca - Olga Leszko, choreografia - Krystyna Gruszkówna, przygotowanie chóru - Janusz Łopot. Premiera - 17, 18 września 1994.

„Bo miłość
to cygańskie
dziecię...”

To było wydarzenie! Od wielu tygodni maestro Jerzy Maksymiuk odbywał próby z orkiestrą Państwowej Opery Bałtyckiej, aż wreszcie nadszedł ten wieczór. A właściwie dwa, bo premierowe spektakle „Carmen” Georges Bizeta w reżyserii Marka Sikory odbyły się w sobotę i wczoraj. Zabrzmiała Habanera, popłynęły dźwięki cudownej muzyki i po raz kolejny potoczyła się opowieść o miłości namiętnej i tragicznej, wpisanej w barwną scenografię Hiszpanii.

O najnowszej, gdańskiej inscenizacji operowego dzieła piszemy na str. 8